

Kronika tygodniowa.

Choć, jak zaznaczyłem w poprzedniej kronice, nie jestem prorokiem i nie nauczyłem się jeszcze czytać w kartach przyszłości, pokazuje się przecież, że się nie pomyliłem bynajmniej, o ile to dotyczyło Świąt. Były w samej rzeczy „pod rsem“, a możemy to powiedzieć z zupełną stanowczością, gdyż są już daleko poza nami, czyli, jak się pięknie mówi, „należą do przeszłości“.

Za dawnych, lepszych, przedwojennych czasów, dwa, a nawet trzy dni z rzędu przeznaczano się na próżniactwo, obżarstwo i pijaństwo, do czego było się należycie przygotowanym przez post czterdziestodniowy, dziś próżnowało się także, ale też i na tem koniec, a używać można było dowolnie chyba tylko świętego powietrza, które dotąd jeszcze nie zostało „skartkowaniem“.

I gdy dawniej w tym czasie drzwi aptek się nie zamykały, gdyż jedni spieszili po olej rycynowy, inni po gorzką wodę, rumbabarum, francuskie ziółka i inne podobne specyfiki, mające ich uwolnić od „pozostałości“ świątlnych, dziś nie zamykają się także, ale tylko z tego powodu, iż ich nikt nie otwiera.

To też czarna rozpacz ogarnęła aptekarzy, którzy nie lubią „bezrobocia“, a jeden z nich oświadczył otwarcie, że: „Z takim życiem... do bani!...“, poszedł na cmentarz i zakupił parcelę pod grób familijny, by mu po najdłuższem życiu nikt spokoju wiecznego nie przerywał.

Trzeba bowiem wiedzieć, że i na cmentarzu mają „kamieniczuley“ przywilej. Aż do chwili Sądu Ostatecznego nikt ich ruszyć nie śmie, gdy tymczasem zwykłym śmiertelnikom powiada się po dwudziestu latach: „Wynoś się, bo tu inny przyjdzie na twoje miejsce!“

Nazwanie zatem cmentarza „miejscem wiecznego spoczynku“ nie jest zupełnie ścisłe.

Miejskie Biuro statystyczne, które po inne lata wykazywało w tym okresie stale wzmagającą się liczbę zgonów, a między nimi bodaj kilka „z przejedzenia się“, w tym roku stwierdza bardzo pomyślny stan zdrowotności ogółu.

I pogoda we Świąta nie dopisała także. W pierwszy dzień popołudniu padał zupełnie niepotrzebnie deszcz i popsuł spacer tym, którzy za miastem chcieli szukać zapomnienia, nie mogąc patrzeć na stół, świecący pustkami, w drugie, kiedy obchodził się „Smigus“ i „lale“ byłoby wskazane, mieliśmy zato pogodę. Padało coś tam w nocy, ale to zrównoważonego obywatela nie obchodzi, bo on w tym czasie spoczywa snem sprawiedliwych. W trzeci dzień mieliśmy także pogodę, ale... „Rękawki“ nie było.

A szkoda!... W tym roku ta uroczystość ludowa miała się odbyć ze zmienionym programem, gdyż miejsca na stokach Krzemionek mieli zająć przedstawiciele proletariatu inteligencji i tam chwycić bułki, które im raczą łaskawie rzucić ci, co ich stać na to, zatem przedstawiciele „ludu pracującego“ t. j. panowie węglarze, stróż, szewcy, krawcy i t. d. „Kto się po nią, będzie wywyższon...“ mówi Pismo święte i ma rację. Niejeden z nich w młodości na stokach Krzemionek nablił sobie guza, uganijając za bułkami, dziś miał wystąpić w zmienionej roli, jako rzucający. Niestety!... Skończyło się tylko na nadziei!... Magistrat męki na czas nie dostał, inteligentów ominęła gratka, na którą się tak cieszyli.

Skoro już mowa o uroczystościach ludowych, to należy wspomnieć, że i „Emaus“ był nieszczerólny, choć o jego „rozkoszach“ tak się *Kuryer* rozpisyje szeroko. Zdaje się jednak, że Autor podzielił się z Czytelnikiem wrażeniami przedwojennymi, opisując bowiem stroje zwierzyńceńskie piękności, wspomina o... tureckich szalach!... Gdzie dziś „szanująca się“ Zwierzyniczanka odważyłaby się publicznie pokazać w podobnym staroświeckim stroju. A że się „Emaus“ nie zdał, to po części wina i s. p. Austrii, która zupełnie niepotrzebnie wycięła lasy na Skorniku, pozbawiając zakonchane pary miejsca, gdzie mogłyby słuchać słowiczych treli. Wogóle Austriacy cierpieli na manię niszczenia wszystkiego, co im wpadło pod rękę i niewiele brakowało, a byłby kazali zburzyć Suklennice, ze względów strategicznych, ponieważ... zasłaniają widok na stylowy komin na odwachu, będący dotąd jedną z ładniejszych ozdób architektonicznych Krakowa. Austriaków, Bogu dzięki, już niema, c. k. komin pozostał nam po nich w spadku.

Tyle ogólnych uwag na temat minionych Świąt, jak je zaś spędzili poszczególnie jednostki, o tem wie każda jak najlepiej. Dziewięćdziesiąt procent z pomiędzy nich nawet nie wiedziało, że to Świąta a nie dalszy ciąg „Wielkiego Postu“, pięć procent spędziło je „ot, tak sobie... ale nie najgorzej“, pozostałe zaś pięć używało, mogąc sobie pozwolić na wszystko, czego

tylko dusza i żołądek zapragnie. Dla nich to przecież nie nowina, bo im „gwiazda pomyślności“ przyświeca jak rok długi, a „Świąta“ mogą sobie urządzać co dziennie.

Zwykły śmiertelnik, gdyby nie to, że było to bezpośrednio po pierwszym, nie byłby sobie mógł pozwolić nawet na ogolenie, gdyż panowie golibrody uchwalili jednogłośnie nową podwyżkę cen, zamieniając korony na marki. Szkoda, że się o kilka dni spóźnili i nie zrobili tego w tym czasie, gdy bawił u nas pan minister Grabski. Wyobrażam sobie, jak byłby się cieszył, słysząc, że się u nas tak ogólnie przyjmuje jego relacja marki do korony.

Jednomyślność mistrzów brzytwy jest wzrasająca. O ile chodzi o obdarcie ze skóry bliźniego, nie znajduje się nikt, kto założyłby swój protest. Niech sobie zresztą uchwalają, co im się podoba. Może im się to przecież raz sprzyrzy a wtedy my zaczniemy „uchwilać“, aby się nie golić i nie strzyż jak rok długi. A jak wtedy będą wyglądać ze swoimi podwyżkami?... Zaczną wówczas cienie śpiewać, a wiadomo, że nie jeden Figaro odznaczał się pięknym głosem i z golibrody stał się cenionym śpiewakiem. Może zresztą i między obecnym „narybkiem“ są także ukryte talenty, nie w tem więc dziwnego, że za swą fatygę każą sobie słono płacić.

I nasz magistrat nie zrobi zapewne interesu na podwyżce cen tramwajowych. O ile stwierdziłem, od pierwszego kwietnia frekwencja się obniżyła. Możemy śmiało powiedzieć, że „magistrat postawił nas na nogi“.

Chodźmy zatem, zamiast jeździć, znaleźć się więc rada i na golibrodzów. Będziemy się golić sami. Od tego są brzytwy i maszynki. I tu znowu sęk, bo panowie golibrodzi zawarli pakt z szlifierzami i żaden z nich nie chce przyjąć brzytwy do ostrzenia. Temu brak tego, tamtemu owego, a trudno się ogolić tępa brzytwą. Zdano nas zatem na łaskę i niełaskę golarzską, a my wobec nich jesteśmy bezsilni i powiadamy z westchnieniem: „Błogosławieni łysi i bez zarostu, albowiem nie będą narażeni na „zwank ich kleszenie“.

Kronikarz ogolił się także, a był to jedyny nadzwyczajny wydatek świąteczny, gdyż na inne coraz pomyślniej składające się koniunktury finansowe nie pozwoliły. Weronika otrzymała także prezent, eleganckie pudełko... (nie pomadek!... Broń Boże!...) pasty do czyszczenia trzewików... Dawna cena ośm centów, dziś sześć koron, choć towar prawdziwie wojenny, tyle tylko, że czarny.

A spojrzeć na stół świątlny!... Aż się człowiekowi chce płakać!... Brakuje tu wszystkiego, bez czego dotąd nie wyobrażałbym sobie świąconego. Pokazano się przecież, że można się w tym czasie obejść zupełnie dobrze bez szynki i kiełbasy, a Weronika doszła do przekonania, że i słodkie bałabuchy, choćby nawet sacharyną słodzone, nie są do zbawienia potrzebne. I tak jak dawniej, za mych młodych lat, czytało się z podziwem opisy staropolskiego święconego, i poprostu nie chciało się pomieścić w głowie, kto to potrafił zjeść i w jakim przeciągu czasu, tak znów nasi potomkowie będą się kiedyś nad tem zastanawiali, dlaczego na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku, w okresie Wielkanocnym cieszyli się wleprzowi takim popytem, a zapotrzebowanie wina „węgierskiego“ było tak wielkie, iż brakło nawet... wody w wodociągu.

Wojna zmieniła zupełnie warunki życiowe. Jej zawdzięczamy, że „święcone“ może odtąd być zaliczone do przeżytków, niema bowiem nadziei, aby stosunki tak się rychło poprawiły, zwłaszcza, że pan minister Grabski, odjeżdżając z Krakowa, zapewnił solennie, iż... o Małopolsce nie zapomni, a to samo powtórzył i we Lwowie. Wiadomo zaś, co znaczy „pamięć ministra skarbu“ o jakimś kraju. S. p. minister Dunajewski pamiętał także stale o Galicyi i dlatego dotąd jeszcze mamy różne podatki, nazwane od jego imienia.

Niechaj jednak ktoś przypadkiem nie sądzi, że kronikarz w tym czasie wogóle „święconego“ nie kosztował, że szynki i kiełbasy na swoje własne oczy nie widział, że się nie rozkoszował dobrze wyruszaniami, zatem pulchnymi babami, że przez oba dni pił jeno wodę!... Tak nie było!... Są jeszcze ludzie, których stać na to, nby sobie urządzić „święcone“, i to także, jak to dawniej bywało, a do nich należy i stróż, czyli dozorca tej kamienicy, w której znajduje się kronikarskie wygasłe ognisko domowe. Widocznie litując się nad takim mizerotą, jak, nie chwalcąc się, kronikarz, zaprosił go do siebie w pierwsze święto, pozwalając cieszyć i wzrok i smak taką obfitością dań Bożych, w stanie stałym i płynnym, że się poprostu wierzyc nie chce, iż przez kraj nasz przeszła wojna. Na taki dobór nie mógł sobie bowiem pozwolić kronikarz nawet za swych najlepszych przedwojennych czasów, gdy za sześćdziesiąt guilderów można się było w ten sposób zaopatrzyć na Świąta, iż przez oba dni miało co jeść i pić kilkanaście osób i jeszcze cośkolwiek zostało dla członków rodziny, jako wspomnienie.

U pana Walentego była zatem i wódeczka od Maurizla (przedtem kupował u Barberowskiego na Małym Rynku...) i szynka w całej swej okazałości i gęś pieczona i placek kruchy i ze serem (ale nie tak zwany dawniej „mosiężny“...) robiony w domu (gdyż cukiernikom nie wolno!...), nie brakło też wina i miodu, który, jak się z zadowoleniem przekonałem, zaczyna coraz bardziej wchodzić w modę.

Nastroj był bardzo ciepły (Walenty zajmuje się prócz stróżstwa i rozpoznaniem węgli...), gościnność była prawdziwie staropolska i trudno jej było odmówić. Dziś czas są tego rodzaju, że nie powinno się zrażać takiego pana Walentego, który, jako należący do ludu pracującego, może lada dzień wejść w skład Sejmu lub gabinetu, zwłaszcza, że stróż starają się właśnie o to, aby tam mieć swych przedstawicieli. Żądaniu ich, aby przy układaniu najbliższem nowego „klucza partyjnego“ i ich wzięto w rachubę, są zupełnie na miejscu, zasługują na to w zupełności ci, którzy całe swe życie mają do czynienia z różnego rodzaju kluczami...

W drugi dzień, t. j. w poniedziałek, musiałem odwiedzić łusoskę pana Walentego, obywatelkę Półwsia Zwierzynieckiego. Handluje ona „w pasku“ maką i krupami i uznawana jest za milionerkę, wiadomo zaś, że dziś pieniądź to wszystko... Poznałem ją na „przyjęciu“ u pana Walentego i zaproszeniu odmówić nie mogłem i ona bowiem ma wielkie wpływy w Warszawie, przyznając się otwarcie do „Piastowców“, z którymi nawet, i to najwybitniejszymi, łączy ją nieci pokrewieństwa. Dzięki jej poparciu można będzie zrobić karierę.

I tu zabawa była „jak się patrzy“, co zaś najważniejsze, nie krępowały nikogo jakieg tam bezmyślnie przepisy etykiety. Gospodyni, której widocznie wpadłem w oko, stale przypijała do „pana literaty“ i zachęcała do jedzenia słowami:

— Nie wstydz się pan, lno frygaj!... Podobnych rzeczy nie dostaniesz w domu!...

I miała najzupełniejszą rację, nie sprzeciwiłem się jej też zupełnie, zwłaszcza, że uległość wobec pici nadobnej jest moją dewizą.

Na wtorek zaprosił nas znowu szwagier owej zwierzynieckiej milionerki, przesuwacz wozów kolejowych na Podgórze. Nie odmówiłem, bo to człowiek przyszłości i ani się obejrzymy, jak się znajdzie w gabinecie, skoro ciągle słyszy się nawoływania, że do steru rządów powinni być powoływani ludzie fachowi. A kolejarz jest chyba fachowcem, specjalnie, o ile to dotyczy spraw kolejowych, nie mówiąc już o innych gałęziach polityki i gospodarki wewnętrznej i zewnętrznej, na której się zna doskonale.

I on spoglądał na mnie łaskawem okiem i zapewnił mnie o swej życzliwości i poparciu, ja zaś westchnąłem cicho i użyłem nieco zmodyfikowanych słów Pisma św.:

— Pamiętaj o mnie, kiedy będziesz w... Warszawie!

Jestem zatem najlepszej myśli i roję złote sny o przyszłości... Może nie tak zaraz, ale w każdym razie kiedyś musi się sytuacja poprawić, a będzie na to dość czasu, jak nas bowiem zapewniają astronomowie z *Kuryera*, gadania pana Porty o końcu świata to „strachy na Lachy“. Świat ma przed sobą jeszcze dziesięć miliardów lat istnienia, co, zwłaszcza przy zamianie na sekundy, przedstawia się bardzo okazale i może zaimponować nawet paskarzowi.

Pierwotnie obiecywali nam, jeżeli się nie mylę, Helmholtz i Poincaré, sześć do ośmiu milionów lat, pokazało się przecież, iż zaszła „drobna“ pomyłka, bo nie rozchodził się o miliony, lecz o miliardy. Póty świata, póki słońca, a na słońcu pali się w piecu nie węglem, lecz radem, a według zapewnienia inspektora radowego na słońcu, zapasy wystarczą „na razie“ na dwieście miliardów lat.

Czy zatem doczekamy końca świata, to wątpliwe, lecz bynajmniej nie wykluczone, jeśli się wierzy w wędrówkę dusz. A o czemś podobnem czytałem niedawno, więc to musi być prawdą.

W Genewie żyje pani Helena Smith, która jest obecnie sklepówką, ale przedtem, jak się jej dusza „wygadała“ w spirytystycznym „transze“, była zupełnie czem innem. Przed tysiącem lat dusza jej tkwiła w indyjskiej księżniczce, potem wzięła w królową Maryę Antoninę, a obecnie obraca sobie za faterą ciało panny Smith, skąd urządziła stałe wycieczki na Marsa i tam się spotyka z jakimś Leopoldem. Przywozi stamtąd barażo wiele ciekawych wiadomości, nawet i rysunków, niestety, ramy kroniki są zbyt szczupłe, aby można tej sprawie poświęcić tyle miejsca, na ile zasługuje.

Przed końcem świata zdarzy się przecież sposobność ku temu. Tymczasem ustalili się może „rozkład jazdy“ dusz, a wiadomości z Marsa będą pewniejsze, bo oto pan Marconi wybiera się w dniu 21. kwietnia na morze i tam się ma z nim spotkać. Na tego rodzaju eksperymenty „marsowe“ jest miesiąc kwiecień najzupełniej odpowiedni i to specjalnie w dniu pierwszym.